

ANATOL FRANCE

Nagroda Nobla



GOSPODA POD KRÓLOWĄ
GĘSIĄ NÓŻKĄ

Anatol France

GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-31-3

Ilustracja na okładce, autorstwa Sylvian'a Sauvage'a, została zaczerpnięta z okładki belgijskiego wydania tej książki (Aux Editions du Nord, Bruxelles 1935)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Tłumaczenie: Jan Sten

Zamierzam opowiedzieć szczególne przygody i zdarzenia mego życia. Były wśród nich wypadki piękne i zdumiewające. Gdy wspominam o nich, zda mi się czasem, jakoby to wszystko działo się było we śnie. Poznałem był pewnego kabalistę gaskońskiego, którego nie mogę zwać mędrcom, gdyż zginął był marnie, ale który raz w nocy na Wyspie Łabędziej miał do mnie tak cudną przemowę, że szczęśliwym się mienię, iż słowa jego zapamiętałem i uważnie spisałem. Mówił mi on o magii i wiedzy okultystycznej, do których z takim uporem obecnie lgną wszyscy; wszak mówi się tylko wszędzie o różokrzyżowcach. Nie pochlebiam sobie zresztą, by mi te objawienia wielkie zaszczyty przyniosły; jedni osądzą, żem wszystko zmyślił i że nie to jest prawdziwa doktryna, inni znów – że nie powiedziałem nic innego nad to, o czym wszyscy już wiedzą. Przyznaję, że nie jestem bardzo uczony w kabalistyce, mistrz mój bowiem zginął, zaledwie rozpoczynając moje wtajemniczenie; lecz to, com z tego kunsztu poznał, gwałtownie każe mi przypuszczać, że w kabalistyce wszystko polega na złudzeniach, na nadużyciu i próżności. Zresztą wystarcza, że magia niezgodna jest z religią, bym już ją z całych sił mych odrzucił. Niemniej co do jednego punktu tej fałszywej wiedzy muszę powiedzieć parę słów objaśniających, by nie uchodzić za większego w niej nieuka, niż jestem w istocie. Wiem, że kabaliści twierdzą, iż sylfy, salamandry, elfy, gnomy i gnomidy rodzą się z duszą śmiertelną jak ich ciało i że zyskują nieśmiertelność w obcowaniu z magami. Mój kabalista, przeciwnie, utrzymywał, że życie nieśmiertelne nie jest udziałem żadnej istoty ani ziemskiej, ani nadziemskiej; poszedłem za jego przekonaniem, nie rozsądając sprawy dalej. Zwykł on być też mawiać, że elfy zabijają tych, co zdradzają ich tajnie, i zemście tych duchów przypisywał był zgon księdza Coignarda, zamordowanego na drodze do Lugdunu. Co do mnie wiem dobrze, że ta śmierć, nigdy nieodżałowana, miała przyczynę bardziej przyrodzoną i śmiało więc mówić będę o duchach ognia i powietrza. Trzeba umieć ryzykować coś w życiu, a z elfami ryzyko bardzo niewielkie.

Zebrałem skwapliwie zdania i przemowy mego zacnego mistrza, księdza Hieronima Coignarda, o którego śmierci wspominałem był powyżej. Był to człowiek pełen wiedzy i pobożności; gdyby nie duch jego niespokojny, dorównałby był w cnocie księdzu Rollin, którego przewyższał znacznie rozległą wiedzą i głęboką inteligencją. Wśród przygód burzliwego swego życia, nie popadł był jednak w jansenizm jak ksiądz Rollin; stateczna moc jego umysłu nie zachwiała się od gwałtowności śmiałych doktryn i przed Bogiem poręczyć mogę za czystość jego wiary. Posiadał wielką znajomość świata, nabytą w obcowaniu z ludźmi najrozmaitszego gatunku; to doświadczenie niezawodnie przydałoby mu się było przy pisaniu dziejów rzymskich, co byłby niewątpliwie na wzór księdza Rollin uczynił, gdyby mu okoliczności i czas pozwoliły i gdyby tryb jego życia lepiej był dostosowany do jego talentów. To, co tu o tym doskonałym człowieku przytoczę, będzie ozdobą tych pamiętników.

Jak Aulus Gellius, który w swych *Nocach attyckich* umieścił najpiękniejsze zdania filozofów, jak Apulejusz, którego *Metamorfozy* zawierają najlepsze baśnie Greków, podejmuję się i ja pracy pszczelnej i chcę zebrać miód najśłodszy. Nie pochlebiam sobie i nie uważam się za współzawodnika tych dwóch wielkich pisarzy, bo tylko ze wspomnień mego życia, a nie z licznych i uczonych ksiąg czerpię wszystkie swe skarby; ja zaś tylko swą dobrą wiarę daję. Jeżeli ktoś ciekawy przeczyta kiedykolwiek moje pamiętniki, pozna, że tylko człowiek prosty duchem mógł wyrażać się w sposób tak jasny i zwięzły; w towarzystwach, w których przebywałem, uważano mnie zawsze za bardzo naiwnego i pamiętnik mój może tylko utwierdzić ten sąd o mnie i po śmierci mojej.

Nazywam się Wawrzyniec Jakub Ménétrier; ojciec mój, Leonard Ménétrier, miał gospodę na ulicy Świętego Jakuba pod godłem „Królowej Gęsiej Nóżki”, która ma, jak wiadomo, nogi z płetwami jak gęsi i kaczkę.

Daszek jego sklepu wznosił się naprzeciw kościoła Świętego Benedykta, pomiędzy pani Gilles sklepem niciarskim pod „Trzema Dziewicami” i księgarnią pana Blaizota pod „Obrazem Świętej Katarzyny”, niedaleko „Małego Bachusa”, którego dzikim winem obrosła krata była już na samym rogu ulicy Powroźniczej. Ojciec kochał mnie bardzo i gdy po kolacji leżałem już w łóżeczku, podchodził do mnie, brał moją rączkę i podnosząc paluszki po kolei, poczynając od

wielkiego palca, mówił:

– Ten ją zabił, ten oskubał, ten ugotował, ten zjadł, a mały Rikiki nic nie ma. Sos, sos, sos – dodawał, końcem swego palca łaskoczając dłoń moją; śmiał się przy tym mocno i ja śmiałem się, zasypiając, a matka moja utrzymywała, że uśmiech pozostawał na mych ustach do następnego ranka.

Ojciec mój był dobrym kucharzem, miał bojaźń Boską, toteż w święta uroczyste nosił chorągiew swego cechu, na której wyhaftowany był piękny święty Wawrzyniec z rusztem i złotą palmą. Ojciec zwykł był mawiać:

– Kubusiu, matka twoja jest świętą i zacną niewiastą.

Zdanie to lubił powtarzać często. Rzeczywiście matka moja co niedziela chodziła do kościoła z książką do nabożeństwa, drukowaną dużymi literami. Źle bowiem czytała drobny druk, który, jak mówiła, oczy z głowy jej wykręca. Ojciec co wieczór godzinę lub dwie spędzał pod „Małym Bachusem”, gdzie bywała także Joasia harfiarka i Kasia koronczarka. Ilekroć ojciec wracał trochę później niż zwykle, nakładając szlafmycę, mawiał wzruszonym głosem:

– Barbaro, śpij spokojnie; właśnie mówiłem kulawemu nożownikowi, że jesteś świętą i zacną niewiastą.

Miałem lat sześć, gdy pewnego dnia ojciec mój, poprawiając fartucha, co było u niego oznaką powziętego postanowienia, tak rzekł do mnie:

– Miraut nasz poczciwy pies, przez lat czternaście kręcił mój rożen. Nic mu zarzucić nie mogę; służył mi wiernie, nigdy nie porwał najmniejszego kęsa gęsi lub indyczki, za pracę swą zadawał się wylizywaniem patelni. Ale starzeje się już, łapa mu sztywnieje, nie widzi nic i nie zdolny już jest do kręcenia korby u rożna. Kubusiu, ty, synu mój, powinienes zająć jego miejsce; przy rozwadze i wprawie potrafisz to zrobić równie dobrze jak on.

Miraut słuchał tych słów, kręcąc ogonem na znak zgody; ojciec zaś mówił dalej:

– A zatem, siedząc na tym zydelku, będziesz kręcił rożen. Trzeba jednak ćwiczyć i twój umysł, toteż gdy przejdiesz katechizm i następnie dobrze będziesz umiał czytać, nauczysz się na pamięć gramatyki, jakichś przypowieści moralnych lub nawet może pięknych nauk ze Starego i Nowego Testamentu. Bo poznać Boga i odróżnić złe od dobrego – potrzebna to rzecz nawet w rzemiośle, nierozgłośnym zaiste, ale uczciwym, jakim jest to rzemiosło moje, które było zawodem mego ojca, a będzie i twoim, jeśli spodoba się Bogu.

Odtąd od rana do wieczora siedziałem, kręcąc rożen, w kąci przy kominie, z otwartym katechizmem na kolanach. Poczciwy kapucyn, który z workiem na plecach zachodził kwestować u ojca, pomagał mi sylabizować, a czynił to tym chętniej, że ojciec, w cenie mając wiedzę, opłacał te nauki dobrym kawałem indyczki i dużą szklanką wina. Toteż braciszek, widząc, że dobrze składam zgłoski i wyrazy, przyniósł mi żywot świętej Małgorzaty i na tej książce biegle czytać mnie nauczył.

Dnia pewnego, położywszy jak zwykle worek swój na kantorku ojca, kapucyn usiadł przy mnie i wygrzewając bosc stopy w ciepłym popiele ogniska, kazał mi po raz setny powtórzyć:

Dziewico Święta, piękna, czysta,
Wspierasz niewiasty przy porodzie –
Zlituj się nad nami!

W tej właśnie chwili wszedł do gospody człowiek w ubraniu duchownym, tłusty, ale jednak dość szlachetnych kształtów, i donośnym głosem zawołał:

– Hej, gospodarzu, proszę mi podać jaki smaczny kęsek.

Mimo siwych włosów zdawał się w pełni lat i sił, uśmiech miał na ustach, oczy żywe. Policzki trochę obwisłe i trzy podbródki opadały majestatycznie na żabot, przez sympatię równie tłusty jak szyja, która na nim spoczywała.

Mój ojciec, uprzejmy z zawodu, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł:

– Niech wasza wielebność zechce zagrzać się przy mym ognisku; zaraz podam jej wszystko czego zapagnie.

Nie dając się prosić dłużej, ksiądz zasiadł przed kominem obok kapucyna.

Słyszając, jak braciszek czytał

Dziewico święta, piękna, czysta,
Wspierasz niewiasty przy porodzie

klasnął w dłonie i zawołał:

– O, cóż za rzadki ptak! Co za unikat! Kapucyn umiejący czytać! Hej, braciszku, jakże się zowiesz?

– Brat Anioł, kapucyn niegodny – odrzekł mój nauczyciel.

Matka moja, w swym pokoju na górze usłyszawszy rozmowę, ciekawością zdjęta zeszła do sklepu. Ksiądz skłonił się familiarnie, lecz uprzejmie, i zwracając się do niej, rzekł:

– Doprawdy godne to podziwu, proszę pani: brat Anioł jest kapucynem, a umie czytać.

– Umie czytać nawet rozmaite pismo – odpowiedziała matka i zbliżywszy się do braciszka, po obrazku, przedstawiającym dziewicę męczenniczkę z kropidłem w rękę, poznała, że była tam właśnie wydrukowana modlitwa do świętej Małgorzaty.

– Tę modlitwę trudno bardzo odczytać – dodała – bo wyrazy są krótkie i zaledwie rozłączone od siebie. Na szczęście wystarcza, by w cierpieniu przyłożyć ją jak plaster do miejsca, gdzie najsilniej boli, a pomoże równie dobrze, a nawet lepiej niż przez odmawianie. Doświadczyłam tego, mój panie, przy urodzeniu tu obecnego syna mego, Kubusia.

– Niech pani dobrodziejka nie wątpi o tym – rzekł brat Anioł – modlitwa do świętej Małgorzaty jest niezawodna w wypadku takim, jaki pani właśnie wspomniała, pod warunkiem jednak, by nie odmawiać jałmużny kapucynom.

Przy tych słowach brat Anioł wychylił czarękę, którą matka naląła mu była po brzegi, zarzucił worek na plecy i podążył w stronę „Małego Bachusa”.

Ojciec mój podał ćwiartkę drobiu na stół, ksiądz wyjął z kieszeni kawał chleba, butelkę wina i nóż, którego miedziana rękojeść przedstawiała króla nieboszczyka jako cesarza rzymskiego na starożytniej kolumnie, i zabrał się do wieczerzy.

Ale zaledwie pierwszy kąsek poniósł do ust, zwrócił się do mego ojca i zażądał soli, zdziwiony tym, że nie od razu podano mu solniczkę.

– Tak – rzekł – czynili starożytni. Ofiarowywali oni sól na znak gościnności. Umieszczali też solniczki w świątyniach, na zastawie bogów.

Sól, barwy szarej, wisiała w drewnianym naczyniu przy kominie. Ojciec podał mu ją, a ksiądz, wzięwszy, ile mu było trzeba, rzekł:

– Starożytni uważali sól za konieczną przyprawę każdego posiłku i mieli ją w takim poszanowaniu, że przez metaforę nazywali solą zwroty dowcipne, którymi zdobili swe mowy.

– Ach – rzekł mój ojciec – w jakkolwiek wysokim poszanowaniu była sól w starożytności, myto dzisiejsze jeszcze ją w wyższej stawia cenie.

Matka, robiąc pończochę, przysłuchiwała się pilnie i, rada wtrącić słówko, rzekła:

– Musi sól być dobrą rzeczą, skoro ksiądz przy chrzcie świętym kładzie dziecku szczyptę jej na język. Jak mój Kubuś poczuł sól w ustach, skrzywił się; choć taki to był malec, a już coś rozumiał. Mówię, wielebny ojcze, o moim synu Jakubie, tu obecnym.

Ksiądz spojrział na mnie i rzekł:

– Teraz to już duży chłopiec, skromność wypisana jest na jego twarzy i z uwagą czyta żywot świętej Małgorzaty.

– Ach – odrzekła matka – on czytuje też modlitwę od odmrożeń, modlitwę świętego Huberta, którą dał mu brat kapucyn, i historię o człowieku, którego to na Przedmieściu Świętego Marcelego kilku diabłów zjadło za to, że bluźnił świętemu imieniu Pańskiemu.

Ojciec mój spojrział na mnie z zachwytem i szepnął księdzu do ucha, że dzięki wrodzonym mym zdolnościom nauczyć się mogę, czego tylko zechcę.

– Skoro tak jest – rzekł ksiądz – należy go kształcić w umiejętnościach pięknych, które są zaszczytem człowieka, pociechą życia i lekarstwem na wszelkie cierpienia, nie wyłączając cierpień miłosnych, jak zapewnia poeta Teokryt.

– Choć jestem tylko kucharzem – odparł mój ojciec – cenię naukę i chcę wierzyć, że, jak

mówi wasza wielbność, jest ona lekarstwem na miłość; wątpię jednak, czy jest także skutecznym lekiem na głód.

– W tym razie nie jest może lekiem niezawodnym – odrzekł ksiądz – ale zawsze i tu przynosi ulgę na wzór kojącego, lecz niezupełnie skutecznego balsamu.

Gdy tak mówił, Kasia koronczarka, z czepkiem na bakier, ze zmiętą na piersiach chustką, ukazała się na progu; matka, spostrzegłszy ją, zmarszczyła brwi i spuściła trzy oczka ze swojej roboty włóczkowej.

– Panie Ménétrier – rzekła Kasia do ojca – chodź przemówić słówko do strażników; jeżeli tego nie uczynisz, na pewno wezmą braciszka Anioła do więzienia. Biedny braciszek zaszedł pod „Małego Bachusa” i wypił dwie czy trzy czarki wina, za które nie zapłacił, nie chcąc, jak mówi, wykroczyć przeciw regule świętego Franciszka. Najgorsza jednak sprawa w tym, że ujrzawszy mnie w altanie w towarzystwie, zbliżył się do mnie, by mnie nowej modlitwy nauczyć. Powiedziałam mu, że chwila niesposobna ku temu; mimo to stawał się natrętny, za co kulawy nożownik, będący ze mną, pociągnął go mocno za brodę. Wtedy brat Anioł rzucił się na nożownika; ten runął na ziemię wraz ze stołem i kuflami. Hałasem zwabiony gospodarz, widząc, że stół przewrócony, wino rozlane, a braciszek z nogą na głowie nożownika wywija młynka zydlem i bije na prawo i na lewo, zaklął siarczyście i pobiegł przywołać strażników. Panie Ménétrier! Niech pan idzie zaraz wybawić braciszka z rąk straży; to człowiek święty i w tej sprawie nie tak bardzo jest winien.

Mój ojciec zawsze rad był przysłużyć się Kasi, ale tym razem słowa jej odniosły skutek wręcz przeciwny, niż się po nich spodziewała. Ojciec sucho jej odrzekł, że w jego oczach nic nie usprawiedliwia postępu kapucyna i że życzy mu, by otrzymał zasłużoną pokutę o chlebie i wodzie w najczarniejszym lochu klasztoru, którego jest hańbą i wstydem.

Mówiąc, podniecał się:

– To pijak, rozpustnik, któremu codziennie daję dobre wino i smaczne kąski, a on chodzi do karczmy umizgać się do rozwiązłych dziewcząt, przekładających towarzystwo wędrownego nożownika i kapucyna nad znajomość z porządnymi cechowymi kupcami swej dzielnicy! Pfuj!

Tu zatrzymał się nagle w swym oburzeniu i ukradkiem spojrzął na matkę, która stojąc wsparta o schody, zawzięcie robiła pończochę.

Kasia, zdziwiona złym przyjęciem, odrzekła sucho:

– Więc nie chcesz pan dobrym słowem ułagodzić szynkarza i strażników?

– Jeżeli chcesz, mogę im powiedzieć, aby zabrali nożownika wraz z kapucynem.

– Przecież – rzekła, śmiejąc się – nożownik jest pańskim przyjacielem.

– Więcej twoim niż moim – z gniewem odrzucił ojciec. – Nędzarz, który ciągnie wózek, utykając.

– Co to, to prawda – zawołała – on istotnie utyka, utyka, tyka!

I wybiegła ze sklepu, śmiejąc się do rozpuku. Ojciec zwrócił się do księdza, który tymczasem nożem kość oskrobywał:

– Tak, jak mam zaszczyt zapewnić waszą wielbność: każdą lekcję czytania i pisania, którą ten kapucyn udziela memu dziecku, opłacam czarką wina i smacznym kąskiem zająca, królika, gęsi, pulardy lub kapłona. A to pijak jest i rozpustnik.

– Słusznie, niewątpliwie – odpowiedział ksiądz.

– Ale niech tylko ośmieli się pokazać na progu, wygnam, jak śmiecia wymiotę z domu.

– I dobrze uczynisz – rzekł ksiądz. – Ten kapucyn to osioł i syna twego uczył on raczej krzyku oślego niż mowy ludzkiej. Mądrze postąpisz, wrzucając do ognia ten oto żywot świętej Katarzyny i modlitwę przeciw odmrożeniom, i historię o wilkołaku, którymi ten mnich zatruwał umysł twego dziecka. Za taką cenę jak brat Anioł sam kształcić go będę, nauczę go łaciny, greki a nawet francuszczyzny, którą Voiture i Balzac doprowadzili do doskonałości. Tak to przez podwójnie szczęśliwe a dziwne zrządzenie losu ten Kubuś Rożenek zostanie człowiekiem uczonym, a ja będę jadał codziennie.

– Zgoda na to – rzekł mój ojciec. – Barbaro, przyniesz dwie czarki, żadna sprawa nie jest prawdziwie zawarta, dopóki obie strony nie wypiją na zgodę. Tu u mnie sobie wypijemy; ten

nożownik i mnich taką we mnie wzbudzają odrazę, że w życiu noga moja nie postanie pod „Małym Bachusem”.

Ksiądz powstał i wsparłszy dłonie na poręczy krzesła, rzekł wolno i uroczyście:

– Przede wszystkim dziękuję Bogu, stwórcy i obrońcy stworzenia wszelkiego, że mnie przywiódł do tego domu, do tej przystani żywicielni. Sam On jedynie rządzi nami i winniśmy uznać palec jego we wszystkich sprawach ludzkich, choć często zbytnia to śmiałość i nieprzystojność nadto ściśle badać Jego drogi. Opatrzność, rozciągając się nad wszystkim, znajduje się też we wszelkich wydarzeniach najrozmaitszych; wydarzenia te ze względu na udział Boski cudowne są niewątpliwie, natomiast nieprzystojne i śmieszne są przez udział ludzki, a ten jedynie nam widomy. Toteż nie należy za kapucynami i dewotkami powtarzać, że Boga widzimy w każdym kocie na dachu. Chwalmy Pana, módlmy się, by mnie oświecił w nauczaniu tego dziecka, a co do reszty spuśćmy się na Jego świętą wolę, nie usiłując odgadnąć jej zawczasu.

I wzniosłszy kubek do góry, wychylił spory łyk wina.

– To wino – rzekł – wnosi w organizm ludzki ciepło łagodne i dobroczynne. Napój to godny, by go opiewano w Teos i w Temple przez księżąt poetów bachicznych, przez Anakreonta i Chaulieu’go. Zwilżę nim usta mego młodego ucznia.

Podstawił mi kubek pod brodę i zawołał:

– Przybądźcie, pszczoły Akademii, przybądźcie melodyjnym tłumem, osiądźcie na Muzom odtąd poświęconych ustach ucznia mego, Jakuba Rożenka!

– O to prawda, księżo dobrodzieju – rzekła matka moja – wino nęci pszczoły, zwłaszcza gdy jest słodkie. Ale po cóż pragnąć, by te złe owady siadły na wargach mego Kubusia, ich ukłucie przecież jest bardzo bolesne. Pewnego dnia, gdy jadłam brzoskwinię, pszczoła ukłuła mnie w język; znosiłam wówczas męki piekielne. Doznałam nieco ulgi dopiero, gdy brat Anioł, recytując modlitwę do świętego Kuźmy, włożył mi w usta grudkę ziemi zmieszaną ze śliną.

Ksiądz wytłumaczył matce, że mówił był o pszczołach w znaczeniu alegorycznym, a ojciec rzekł z wymówką:

– Barbaro, jesteś świętą i zacną niewiastą, ale zauważyłem wielokroć, że masz szkaradny zwyczaj wtrącać się niepotrzebnie, ni w pięć, ni w dziewięć, do rozmów poważnych.

– Być to może – powiedziała matka. – Ale gdybyś był zawsze szedł za moją radą, Leonardzie, dobrze byłbyś wyszedł na tym. Może nie znam się na rozmaitych rodzajach pszczół, ale wiem, jak zarządzać domem, i wiem, jaką przystojność winien zachować w obyczajach człowiek w latach, ojciec rodziny i chorąży swego zgromadzenia.

Mój ojciec podrapał się za uchem i nalał wina księdzu, który rzekł, wzdychając:

– Tak, tak, dziś nauka w królestwie francuskim nie jest tak ceniona, jak była niegdyś u upadłego już nawet ludu rzymskiego, gdy to retoryka na tron państwa wyniosła Eugeniusza. W dzisiejszym wieku nierzadko zdolnego człowieka znaleźć można na poddaszu, bez ognia i światła. *Exemplum ut talpa*. Na mnie macie przykład.

I zaczął opowieść swego życia, którą tu przytaczam, tak jak wyszła z ust jego. Były w tym opowiadaniu ustępy, których ze względu na mój młody wówczas wiek nie zrozumiałem, a zatem i niedobrze od razu zachowałem w pamięci; odważyłem się uzupełnić je według zwierzeń, które mi poczynił później, gdy już zaszczycał mnie swą przyjaźnią.

– Taki, jakim mnie widzicie – rzekł – a lepiej mówiąc, zupełnie inny, niż mnie widzicie, bo młody, smukły, z okiem żywym, z włosiem kruczym, wykładałem w kolegium w Beauvais sztuki wyzwolone pod kierunkiem panów Dugué, Guérin, Coffin i Baffier. Odebrałem święcenia i marzyłem o zdobyciu sławy literackiej, ale kobieta zniweczyła me nadzieje. Nazywała się Nicola Pigoreau i na placu przed kolegium utrzymywała księgarnię pod „Złotą Biblią”. Zachodziłem tam i przerzucałem często książki, które otrzymywała z Holandii, oraz rzadkie edycje autorów, wydawane w dwu językach i zaopatrzone w przypiski, w warianty i w bardzo uczone komentarze. Byłem uprzejmy i miły, pani Pigoreau zauważyła to na moje nieszczęście; była niegdyś ładna i mogła podobać się jeszcze, oczy miała wymowne. I dnia pewnego Cyceron, Tytus Liwiusz, Platon, Arystoteles, Tukidydes, Polibiusz, Warron, Epiktet, Seneka, Boecjusz i Kasjodor, Homer,

Ajschylos, Sofokles, Eurypides, Plaut i Terencjusz, Diodor Sycylijski i Dionizjusz z Halikarnasu, święty Jan Chryzostom i święty Bazyl, święty Hieronim i święty Augustyn, Erazm, Saumaise, Turnebus, Scaliger, święty Tomasz z Akwinu, święty Bonawentura, Bossuet wlokący za sobą Ferriego, Lenain, Godefroy, Mézeray, Mainbourg, Fabricius, ojciec Lelong, ojciec Pitou, wszyscy poeci, mówcy, historycy, wszyscy ojcowie, doktorzy, teologowie, humaniści, komentatorowie – wszyscy, od dołu do góry zalegający półki, byli świadkami naszych pocałunków.

– Nie mogłam ci się oprzeć – rzekła – nie myśl stąd źle o mnie.

Swą miłość wyrażała mi z zapalem niepojętym. Raz kazała mi przymierzyć żabot i mankiety koronkowe i widząc, że mi w nich bardzo do twarzy, nalegała, bym je zatrzymał. Nie chciałem, lecz widząc, że drażni ją moja odmowa, w której upatrywała obrazę dla swej miłości, przyjąłem jej podarek, by jej nie rozgniewać. Miałem u niej powodzenie aż do chwili, gdy mnie jakiś oficer zastąpił. Dotknęło mnie to mocno i w zapale zemsty oświadczyłem regensom kolegium, że nie bywam już pod „Złotą Biblią”, nie chcąc być świadkiem scen obrażających skromność młodego duchownego. Nie poszczęściło mi się z tą sztuczką: pani Pigoreau, dowiedziawszy się, jak względem niej postąpiłem, rozgłosiła, że ukradłem jej mankiety i żabot koronkowy. Te fałszywe oskarżenia doszły do uszu regensów, którzy kazali przetrząsnąć mą skrzynię i znaleźli w niej te dosyć cenne stroje. Wypędzono mnie, i tak to, jak niegdyś Hipolit i Bellerofon, doświadczyłem na sobie złości i chytrności kobiet. Znalazłem się na bruku z węzełkiem swym i spisaniem wykładem krasomówstwa. Wielkie było prawdopodobieństwo, że z głodu umrzeć przyjdzie; toteż porzuciwszy płaszczyk duchowny, przedstawiłem się pewnemu magnatowi hugonocie, który przyjął mnie za sekretarza i dyktował mi różne przeciw religii pisma.

– Ach! Co do tego – zawołał mój ojciec – to źle ksiądz dobrodziej postąpiłeś. Uczciwy człowiek nie powinien przyłożyć ręki do takiej wstrętnej roboty. Ja, choć nie uczony, a rzemieślnik, znieść nie mogę tych heretyków.

– Masz rację, gospodarzu – odparł ksiądz – to był najgorszy czyn mego życia, czyn, którego najmocniej żałuję. Ale mój chlebodawca był kalwinem i pióra mego używał tylko przeciw luteranom i socynianom, których nienawidził. Mogę zapewnić, że z jego rozkazu obszedłem się z tymi heretykami ostrzej, niż to kiedykolwiek uczyniono w Sorbonie.

– Amen – rzekł mój ojciec – gdy wilki pożerają się wzajem, baranki pasą się w pokoju.

Ksiądz ciągnął dalej:

– Zresztą – rzekł – niedługo służyłem temu panu, który wyżej cenił listy Ulryka von Huttena niż mowy Demostenesa i u którego tylko wodę dawano do picia. Próbowałem następnie różnych zawodów, ale w żadnym dobrze mi się nie wiodło; byłem kolejno: kolporterem, aktorem, mnichem, lokajem. W końcu, przywdziawszy znów księżą pelerynkę, zostałem sekretarzem biskupa w Séez i układałem dlań katalog cennych rękopisów jego biblioteki. Ten katalog składa się z dwu tomów *in folio*, tomy te, w czerwony safian oprawne, ze złożonymi brzegami, z herbem biskupa, mieszczą się w jego zbiorach. Śmiem twierdzić, że jest to dobrze wykonana praca.

I zależałoby tylko ode mnie, by w ciszy i spokoju przeżyć wiek swój u boku jego ekscelencji, ale – pokochałem pokojówkę pani starościny. Nie potępiajcie mnie państwo zbyt surowo. Była to brunetka, pełna, żywa, świeża; święty byłby ją pokochał. Pewnego dnia wzięła dylizans i pojechała szukać szczęścia w Paryżu; podążyłem za nią, ale jej sprawy poszły w stolicy znacznie pomyślniej niż moje.

Wstąpiłem za jej poleceniem na dwór tancerki w operze, pani de Saint-Ernest, która znając me talenty, poleciła mi napisać według jej wskazówek pamflet przeciw pannie Davilliers, do której miała urazę. Byłem dobrym sekretarzem i doprawdy zasłużyłem na te pięćdziesiąt dukatów, które mi dać przyrzekła. Książkę, ozdobioną alegorycznym nagłówkiem, wydrukowano w Amsterdamie u Marka Michała Reya. Panna Davilliers otrzymała do rąk pierwszy egzemplarz, w chwili gdy wyjść miała na scenę, by odśpiewać wielką arię Armidy. Ze złości głos jej drżał i ochrypl, śpiewała fałszywie – wygwizdano ją. Po skończonej roli, jeszcze w krynolinie i peruce, pobiegła do intendenta, który miał powody niczego jej nie odmawiać; ze łzami rzuciła mu się do nóg, żądając zemsty.

Dowiedziano się wkrótce, że cios padł z ręki pani de Saint-Ernest. Badana, napierana,

zastraszona, wydała moje autorstwo, za co osadzono mnie w Bastylji. Przebyłem tam lat cztery, pocieszając się czytaniem dzieł Boecjusza i Kasjodora.

Teraz w budce na cmentarzu Świętych Niewiniątek jestem pisarzem publicznym i zakochanym pokojówkom użyczam tego pióra, które winno było raczej kreślić życiorysy znakomitych mężów rzymskich i komentować pisma uczonych ojców Kościoła. Biorę dwa szelągi za list miłosny; z takiego to rzemiosła umieram raczej, niżli żyję. Znoszę ten los, pomny na to, że Epiktet był niewolnikiem, a Pyrron ogrodnikiem.

Przed chwilą, niespodzianym trafem, za anonim dostałem dukata; nie jadłem był od dwóch dni, toteż niezwłocznie począłem szukać jakiejś gospody; spostrzegłem z ulicy twój barwny szyld, ogień twego komina wesoło połyskujący na szybach; poczułem na progu rozkoszną woń smacznego jedzenia i wszedłem. Tak więc, gospodarzu kochany, znasz teraz cały mój żywot.

– Widzę, że jest to żywot zacnego człowieka – rzekł mój ojciec – i że oprócz sprawki z hugonotem nie ma mu nic do zarzucenia. Dłonią w dłoń! Bądźmy przyjaciółmi. Jak się nazywacie, księżu dobrodzieju?

– Hieronim Coignard, doktor teologii, licencjat sztuk wyzwolonych.

Słusznie mówił ksiądz Hieronim Coignard, że cudowny w sprawach ludzkich jest związek przyczyn i skutków. Zastanawiając się nad dziwnymi przypadkami i zdarzeniami naszego życia, musimy przyznać, że we wszechdoskonałości Boskiej nie brak dowcipu, fantazji i talentu komicznego i że Bóg w tworzeniu zagmatwań życiowych celuje tak samo jak we wszystkim innym. Gdyby, tak jak natchnął Mojżesza, Dawida i proroków, raczył natchnąć pana Le Sage i jarmarcznych poetów, podyktowałby im najucieszniesze sztuki marionetek. Bo oto na przykład ja zostałem łacinnikiem dlatego, że brata Anioła przychwyciła straż, a władza duchowna wsadziła go do więzienia za pobicie jakiegoś nożownika w altanie pod „Małym Bachusem”. Imci Pan Hieronim Coignard dotrzymał obietnicy, udzielał mi swych lekcji; uważał łaskawie, że jestem posłuszny i bystry, i z przyjemnością uczył mnie literatury starożytnej. W lat kilka wykierował mnie na wcale dobrego łacinnika.

Pamięci jego zachowam wdzięczność dozgonną i każdy łatwo pojmie, ile mu jestem winien, gdy powiem, że kształcąc mój umysł, niczego nie zaniedbał, aby zarazem wykształcić duszę i serce. Przytaczał mi *Maksymy* Epikteta, *Homilie* świętego Bazylego i *Pocieszenia* Boecjusza. Pięknymi cytatami wtajemniczał mnie w filozofię stoików, ale wykazywał całą jej wzniosłość po to tylko, by tym lepiej upokorzyć ją przed wyższością filozofii chrześcijańskiej. Był on subtelnym teologiem i dobrym katolikiem. Wiara jego pozostała niewzruszona na szczątkach jego najdroższych złudzeń i najbardziej usprawiedliwionych nadziei. Jego słabostki, błędy, grzechy, których nie starał się ukryć lub upiększyć, nie zachwiały wcale jego ufności w dobroć Boską. By znać go dobrze, należy wiedzieć, że o zbawienie wiekuiste dbał starannie nawet w okolicznościach takich, w których najmniej, zda się, mógł być o to się troszczyć. Wszczepił mi zasady rozumnej pobożności, starał się także zjednać mnie dla cnoty i za pomocą przykładów, czerpanych z życia Zenona, chciał uczynić ją dla mnie rzeczą codzienną i powszednią.

By mi dać poznać niebezpieczeństwa życia rozwiązłego, czerpał argumenty z źródeł bliższych, zwierając się przede mną, jak to niegdyś zbytnie zamiłowanie do kobiet i wina pozbawiło go zaszczytu wykładać z katedry w kolegium w birecie i todze.

Do jego zalet niezwykłych należy dodać jeszcze stałość i wytrwałość; lekcje swoje dawał z sumiennością, jakiej trudno było spodziewać się od człowieka, który tak jak on oddany był na pastwę zdarzeń koczowniczego życia i którego ciągle unosił wir losów niepewnych, bardziej godnych urwisa niż doktora teologii. Gorliwość jego wynikała z dobroci, a także z upodobania do miłej ulicy św. Jakuba, gdzie mógł zaspokoić pragnienia swego ciała zarówno jak i umysłu. Gdy przy obfitym i smacznym posiłku, udzielił mi już swych nieocenionych nauk, wstępował pod „Małego Bachusa” i pod „Obraz Świętej Katarzyny” – na tej to małej przestrzeni, która była dlań rajem, znajdował wszystko, co lubił: dobre wino i książki.

Bywał on częstym gościem u księgarza pana Blaizota, który przyjmował go uprzejmie, choć tylko przewracał mu książki, nie kupując żadnej. I miło było patrzeć na mego drogiego mistrza, jak

siedział w głębi sklepu, z nosem wetkniętym w małe, świeżo przybyłe z Holandii edycje, i od czasu do czasu znad książek unosił głowę, aby ze swą bogatą i pogodną erudycją dyskutować o czym właśnie wypadło, czy to o planach monarchii powszechnej, które przypisywano zmarłemu królowi, czy to znów na przykład o miłośkach artystek z bankierami. Pan Blaizot, mały, szczupły staruszek w brązowym fraku i szarych wełnianych pończochach, nigdy nie miał dosyć jego dyskursów. Pan Blaizot budził we mnie podziw wielki; nie wystawiałem sobie piękniejszego zajęcia na świecie, jak sprzedawać książki pod „Obrazem Świętej Katarzyny”.

Dla jednego jeszcze wspomnienia urok tajemniczy miała dla mnie księgarnia pana Blaizot. Tam to kiedyś, gdym był jeszcze bardzo młody, oglądałem po raz pierwszy nagą kobietę; widzę ją jeszcze. Była to postać Ewy w jakiejś ilustrowanej Biblii. Miała duży brzuch i trochę przykrótkie nogi; na tle niby krajobrazu holenderskiego rozmawiała z wężem. Właściciel tego obrazka wzbudzał we mnie poszanowanie, które zachowałem był i później, gdy dzięki księdzu Coignardowi nabrałem już wielkiego zamiłowania do książek.

Mając lat szesnaście, umiałem dosyć łaciny i trochę greki; mój zacny mistrz rzekł wówczas do mego ojca:

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI